

## Kobiety „Solidarności”

---

*Z Ireną Kuczyńską – emerytowaną nauczycielką pleszewskiego Liceum Ogólnokształcącego im. St. Staszica, dziennikarką, osobą mocno związaną z „Solidarnością”, w roku 25-lecia częściowo wolnych wyborów z czerwca 1989 r. o powikłanych losach ludzkich w trudnych latach komunizmu, o roli kobiet w „Solidarności” i nie tylko, przeszłości i współczesności, o rodzinie, która kształtuje na całe życie, o wielkiej i małej polityce – rozmawia Janusz M. Lewandowski.*

*Czy czuje się Pani człowiekiem „Solidarności”?*

O tak, tak, bez wątpienia czuję się człowiekiem „Solidarności”, ale przede wszystkim tej pierwszej „Solidarności”. Tej współczesnej to raczej nie.

*Nim będziemy rozmawiać o dawnej i obecnej „Solidarności”, chciałbym zapytać Panią o wydarzenia z ostatnich tygodni. 4 czerwca obchodziliśmy 25. rocznicę wyborów z 1989 r. Z jednej strony prezydent Obama docenia nasz wkład w wyzwolenie Europy Wschodniej. Z drugiej, znaczna część mediów – szczególnie pravicowych – mówi, iż nie ma powodów do świętowania. Ani wybory nie były wolne, ani też zmiany nie doprowadziły do takich efektów, jakie sobie wyznaczyliśmy. O czym Pani myśli, obserwując to wszystko, co dzieje się w Polsce?*

Pamiętam doskonale rok 1989 i tamte wybory. Pamiętam, że mieliśmy wtedy za sąsiadów NRD, Czechosłowację i przede wszystkim Związek Radziecki – i jego wojska w naszym kraju. Uważam, że wydarzenia 1989 r. – Okrągły Stół, częściowo wolne wybory – były wydarzeniami na miarę tamtych czasów. Powiem szczerze, że jestem dumna z tego wszystkiego, co zdarzyło się właśnie wtedy zarówno w Polsce, jak i w Pleszewie. Było rzeczą wielką uczestniczyć w niesamowitej radości po zwycięstwie strony związkowej, brać udział w następujących każdego dnia zmianach. Nie ukrywam, że autentycznie cieszyliśmy się z powołania pierwszego niekomunistycznego rządu Tomasza Mazowieckiego. Dlatego też – moim zdaniem – powinniśmy szcycić się naszymi osiągnięciami.

W czerwcu 1989 r. byliśmy szczęśliwi ze zwycięstwa, ale jednocześnie zdziwieni, że udało nam się zagospodarować w taki sposób ten niewielki kawałek wolności, której „łaskawie” użyli nam rządzący. Któż bowiem mógł się spodziewać zwycięstwa w wyborach do senatu w stosunku 99:1? A jednak, społeczeństwo było zmęczone i pragnęło prawdziwych zmian, co przełożyło się na końcowy wynik. Radość ze zwycięstwa strony solidarnościowej była nie tylko naszym udziałem. Gdy podliczono głosy w komisji wyborczej, w której pracowałam tutaj w Pleszewie, cieszyliśmy się nie tylko my – związkowcy, ale także przedstawiciele ówczesnej władzy.

Potem ważnym momentem było powołanie rządu Tadeusza Mazowieckiego, który dawał nadzieję na... No właśnie, wydaje mi się, że w owym roku 1989 nikt z nas nie potrafił

nawet wyobrazić sobie, w jakim kierunku pójdą zmiany. Bez wątpienia chcieliśmy poprawy sytuacji ekonomicznej i politycznej, ale dokąd to nowe nas zaprowadzi, nie wiedzieliśmy.

***Niedawno przeczytałem, że w ostatnich 30 latach właściwie mamy do czynienia z regresem. Począwszy od przemysłu, poprzez oświatę, kulturę, po służbę zdrowia, Polacy dostrzegają zmianę na gorsze. Niektórzy mówią nawet, iż nasze państwo zupełnie nie funkcjonuje, więcej – państwa po prostu nie ma. Czy wielka rewolucja solidarnościowa rzeczywiście zakończyła się klęską?***

Nie zgadzam się z tym, co Pan mówi. Nie jest prawdą, że w Polsce mamy do czynienia z jakimś wielkim kryzysem instytucji państwowych. Niedawno byłam w Pałacu Prezydenckim w Warszawie na spotkaniu z Bronisławem Komorowskim w związku z rocznicą wyborów czerwcowych '89. Prezydent zacytował wtedy wyniki innych badań polskiego społeczeństwa. Okazuje się, iż ponad 80% Polaków uważa się za ludzi szczęśliwych. Czy to możliwe, by tak wielka grupa społeczeństwa była nie tylko zadowolona ze swojego życia, ale właśnie szczęśliwa, gdyby dookoła działo się źle? Moim zdaniem, nie. Z pewnością istnieje pewna nostalgia za minionymi czasami. Starsze pokolenie przyzwyczajone było do tego, że życie jest proste, poukładane, toczy się od 7 do 15 w SPOMASZ-u lub „Obrabiarkach”. Potem był czas, by pójść na działkę, a latem jechać na wczasy zakładowe. Jednego roku kupowało się na 12 rat tapczan, w następnym też na 12 rat lodówkę. O samochodach nie można było marzyć, gdyż były one dostępne tylko dla nielicznych i to często na talony. Jeśli zatem ktoś dziś mówi mi, że kiedyś było lepiej, to zdecydowanie się nie godzę na tego typu stwierdzenia. Oczywiście nie wszystko jest w nowej rzeczywistości doskonałe, na pewno wiele sfer naszego życia mogłoby działać znacznie sprawniej, ale dokonaliśmy tak wiele.

Mówi Pan o problemach służby zdrowia. Chciałabym zwrócić uwagę na dwie rzeczy: po pierwsze, w czasach mojej młodości rzadko zwracano uwagę na diagnostykę, która teraz jest nie tylko niezwykle potrzebna, ale także modna. Publiczna służba zdrowia realizuje co roku programy profilaktyczne z wykorzystaniem nowoczesnej aparatury medycznej na światowym poziomie. Po drugie, także w krajach zachodnich dostęp do usług medycznych jest ograniczony. Moja córka – mieszkająca obecnie we Włoszech (w bogatym Piemontie) – na badania specjalistyczne musi również zapisać się w swej poradni i odczekać. Reasumując, myślę, że nie wszyscy są w Polsce szczęśliwi, nie wszystkim jest dobrze, ale z pewnością poziom życia się podniósł. Zaczęliśmy doganiać Zachód, który gospodarkę wolnorynkową buduje od lat, a w przypadku Wielkiej Brytanii od kilku wieków. My mieliśmy 20 lat (1919 - 1939), kiedy to zbudowaliśmy państwo po 140 latach praktycznie od zera. No i teraz tych 25 lat, kiedy trzeba naprawiać bezsensy gospodarki nakazowo-rozdzielczej.

***Zgadzając się z tym, co Pani mówi, chciałbym zapytać, co stało się w kraju wychodzącym z zapaści cywilizacyjnej, że tak wielu dziś nie ma poczucia sukcesu, lecz poczucia odrzucenia, pominięcia. W „Diagnozie społecznej” dokonanej przez zespół prof. Czapińskiego czytamy, iż tylko połowa Polaków potrafi zdecydowanie powiedzieć, jak ocenić wprowadzone reformy. Z tej połowy respondentów tylko 14% ocenia je pozytywnie, co każe nam poważnie zastanowić się nad tym problemem. Potwierdzeniem wyników badań społecznych jest także liczba ludzi głoszących na partię antysystemowe lub otwarcie kontestujące nową drogę wychodzenia z***

***komunizmu. Może idzie o to, co niegdyś mówił były prezydent: „Nie o taką Polskę walczyliśmy”?***

Myślę, iż jednym z najważniejszych powodów jest różnica między naszymi wyobrażeniami, a rzeczywistością, która jest znacznie bardziej złożona, niż nam się wydaje. Gdy upadał komunizm, nasze oczekiwania były bardzo duże. Porównywaliśmy się z krajami budującymi demokrację od wielu dziesięcioleci i zdawało nam się, że w krótkim czasie uda nam się je dogonić.

Cytuje Pan prezydenta Wałęsę, a ja chciałabym zapytać, właściwie o jaką Polskę walczyliśmy? Na pewno walczyliśmy o Polskę, która będzie miała otwarte granice, będzie krajem wolnym, tzn. nikt nie będzie ograniczał swobody wypowiedzi, swobody publikacji. Walczyliśmy o to, by każdy mógł wydawać gazety, książki, organizować się, tworzyć partie polityczne. W 1989 r. myśleliśmy o jakiejś formie wolnego rynku, odrzucając tę nieszczęsną gospodarkę nakazową, bo już nie chcieliśmy, by ktokolwiek np. decydował, gdzie i ile sklepów ma być w Pleszewie. Biorąc to wszystko pod uwagę, reformy ostatnich 25 lat trzeba uznać za udane.

***W gazecie i na portalu pleszew.naszemiasto.pl, które Pani redaguje, publikowane są zdjęcia Pleszewa z czasu PRL-u. Co Pani myśli, oglądając te fotografie?***

Przede wszystkim są one świadectwem dużych zmian w naszym mieście. Dzisiejszy Pleszew jest czystszy, bardziej kolorowy, nowocześniejszy. Ludzie na ulicy wyglądają ładniej, nie tak szaroburo, siermiężnie i topornie, jak chociażby w 1977, gdy w Pleszewie odbywały się uroczystości z okazji nawiedzenia Kopii Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Proszę spojrzeć teraz na nas wszystkich, proszę spojrzeć na nowe prywatne domy czy instytucje publiczne. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie jestem fanką wszystkiego, co dziś się dzieje, bo widzę, że wielu osobom żyje się trudno. Zauważam np. zjawisko emigracji zawodowej, która dotknęła także moją rodzinę. Córka jakiś czas temu wyjechała do Włoch w poszukiwaniu lepszej pracy i ... lepszego życia. Z drugiej strony warto podkreślić, że dokonała wyboru, do którego miała prawo. Nie musiała, jak kiedyś Polacy, porzucać wszystkiego, zatrzaskiwać za sobą drzwi...

***Polska się zmienia, żyjemy dziś na szczęście w zupełnie innym świecie. Obydwoje zauważamy duży postęp. Proszę mi powiedzieć, czy nie ma w Pani jednak choć nutki nostalgii za czasami przedsolidarnościowymi?***

Czy jest we mnie nostalgia za tamtymi czasami? Może trochę tak. Byliśmy młodzi, w latach 70. kończyliśmy studia (byłam szczęściarą, że mogłam studiować na studiach stacjonarnych, w latach PRL-u tylko ok. 7% ludzi studiowało). Rozpoczynaliśmy dorosły etap naszego życia. Wszystko było przewidywalne. Praca w szkole (za 1750 zł miesięcznie), w dalekiej perspektywie przydział na spółdzielcze mieszkanie, itp. Z drugiej strony żyliśmy w gospodarce niedoboru, dlatego też podstawowe rzeczy niezbędne do życia trzeba było zdobywać w sklepie, wyhodować na działce, przerobić i przechować na zimę. Pracując w szkole, byłam kucharką, sprzątaczką, krawcową, ogrodniczką, ekonomistką wiążącą końcówki rodzinnego budżetu. Uciążliwości dnia codziennego może były odczuwane z

mniejszą siłą, bo byliśmy młodzi i mając podobne pensje, poziom życia mieliśmy podobny. Nie zmienia to jednak faktu, że czas był trudny. Stanie w kolejce po mięso czy kawę, kupowanie dzieciom butów na kartki było upokarzające. Dobrze, że z domu wyniosłam umiejętności szycia, dziergania, haftowania, przetwarzania, malowania, tapetowania...

***Pozostańmy jeszcze w latach siedemdziesiątych. Chciałbym, abyśmy wspólnie zrekonstruowali klimat polityczny, nastrój tamtego czasu. Co utkwiło szczególnie w Pani pamięci z tego okresu? Powspominajmy przez chwilę okres licealny, studencki, pierwsze lata pobytu w Pleszewie.***

Powiem szczerze, iż w okresie licealnym i studenckim polityka zupełnie mnie nie interesowała. W marcu 1968 roku, na pierwszym roku studiów, byłam w Poznaniu pod pomnikiem Adama Mickiewicza, gdzie poznańscy studenci protestowali przeciwko zdjęciu z afisza spektaklu „Dziadów” w stolicy. Nie było to jednak tak bardzo świadome jak późniejsza działalność w latach 80. Niechęć do ustroju zasiał już wcześniej we mnie dziadek Wincenty Ratajczak, który po I wojnie znalazł się w Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera, walczył w roku 1920 z bolszewikami (mamy w domu medal przyznany dziadkowi przez Józefa Piłsudskiego), był świadkiem zaślubin z morzem, potem był oficerem straży granicznej. Po wojnie odebrano mu przyznaną przed wojną wojskową emeryturę. Pracował na roli, nie chciał pracować w urzędach. Nie akceptował nowego ustroju. Namiętnie słuchał radia „Wolna Europa”. Jednak ziarno zasiane przez dziadka, musiało czekać do lat 80. W liceum zajmowałam się przede wszystkim nauką. Wspierana byłam w tym względzie przez rodziców. Z pięciorga ich dzieci, troje skończyło stacjonarne studia wyższe, dwie siostry skończyły szkoły średnie. Po maturze wybrałam rusycystykę, choć dziadek, patrzył na to niechętnie. Miałam jednak zawsze charakter niezależny, dlatego postawiłam na swoim.

***Czy wybór rusycystyki był motywowany ideologicznie?***

Zupełnie nie. Polityka, ideologia nie miały dla mnie wtedy znaczenia. Podobał mi się język i literatura rosyjska. Poza tym właśnie w liceum miałam doskonałą nauczycielkę rosyjskiego, dzięki czemu nie miałam najmniejszych trudności w czasie studiów. Poznańska rusycystyka, która pod koniec lat sześćdziesiątych dopiero się tworzyła, była miejscem, gdzie spotykało się wielu bardzo ciekawych ludzi. Było nas na roku tylko trzydziestu, a zajęcia mieliśmy z wykładowcami przyjeżdżającymi z Wrocławia. Warto powiedzieć, iż nasi nauczyciele akademicy wywodzili się z przedwojennego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, pewnie dlatego nie pamiętam jakichś zabiegów ideologicznych wobec nas.

***Wróćmy jednak do polityki...***

... świadomość pojawiła się już na I roku studiów, kiedy po „wypadkach marcowych” wyrzucono z pracy, z wilczym biletem, asystenta o nazwisku Wierziłow, który (jak się potem okazało) zaangażowany był w działalność opozycyjną. Wtedy właśnie zaczęłam się zastanawiać, jaka jest prawdziwa natura tamtego systemu. Gdy w 1972 roku przyjechałam do Pleszewa, byłam już pewna, że partia to nie moje miejsce. Odmówiłam prof. Jabczyńskiemu, który pytał, czy nie chcę się zapisać do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wiedziałam

również, że Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej lub inne tego typu organizacje nie są dla mnie. Wolałam zamiast tego działalność w Polskim Czerwonym Krzyżu. W pracy rusycystki starałam się unikać propagandy.

W połowie lat 70. na szczęście nie czuło się już tak wielkiej presji władzy jak wcześniej. Oczywiście był „Biały Domek”, z którego płynęły dyrektywy i dokąd biegali dyrektorzy i prezesi z relacjami, jak w swoich placówkach wdrażają myśli Marksa i Lenina, ale miałam wrażenie, że traktowano system z „przymrużeniem oka”. Po prostu wszyscy znaleźli w tym systemie swoje miejsca, a człowiek, szczególnie Polak, który w ostatnich wiekach nie miał swojego państwa i zawsze był „pod butem”, się przystosował. Pewnie dlatego teraz mamy tak mało myślenia obywatelskiego. Wracając do Pleszewa lat 70. Był tu jakiś dziwny Bank Miast, w ramach którego Pleszew zmagął się z Olesnem (miasto na tzw. Ziemiach Odzyskanych). 1 maja trzeba było się zameldować na pochodzie, który był tematem kpin. Niezwykłym przeżyciem dla mnie była wycieczka do Związku Radzieckiego pociągiem przyjaźni. To był czysty absurd. Z wkładkami paszportowymi, przywiązani do przewodnika, ubezwłasnowolnieni, bez możliwości samodzielnego spaceru po ulicy.

Życie w Pleszewie w latach 70. było szalenie ciekawe. Zjechało tu wielu młodych ludzi – inżynierów i techników, nauczycieli, kwitło życie towarzyskie. Pewnie, że nie mogliśmy oficjalnie o wszystkim mówić, ale znaczna część mojego ówczesnego towarzystwa później zaangażowała się w pracę związkową, uczestniczyła w działaniach pierwszej „Solidarności”.

***Proszę wybaczyć, ale ludzie ówczesnej władzy pocują się teraz urażeni, gdyż swoją działalność na pewno traktowali serio. Ani przez chwilę nie przyszło im do głowy, by lekceważyć instrukcje płynące z KC, KW itp.***

Pewnie tak. Ja natomiast mówię o odczuciach zwykłych ludzi, którzy unikali polityki, a w każdym razie oficjalnie dystansowali się od komuny. Chciałabym, aby w tym miejscu zabrzmiało to dość wyraźnie: w latach 60., 70. i po stanie wojennym trwała ciągła gra pomiędzy społeczeństwem a systemem. Władza, która była opresyjna, chciała ingerować we wszystkie sfery naszego życia, decydować, co i kiedy się robi. Ludzie natomiast pragnęli jakoś w tym systemie żyć. Jedni zatem doskonale przystosowywali się, robili kariery, dorabiali się stanowisk i pieniędzy, inni buntowali się, angażowali w działalność opozycyjną. Większość jednak chciała po prostu spokojnie żyć. Brałiśmy więc udział w oficjalnym rytuale, w gronie przyjaciół mówiliśmy o rzeczach zakazanych. Jednym z najbardziej charakterystycznych zjawisk tamtego czasu była dwoistość zachowań – oficjalnych i prywatnych. Na szczęście w roku 80. pojawiła się „Solidarność” i wiele rzeczy się zmieniło.

***Obydwoje jesteśmy związani z oświatą, nie mogę zatem nie zapytać o klimat panujący w szkolnictwie, a może bardziej o klimat panujący w szkole, w której zaczynała Pani uczyć po przyjeździe do Pleszewa.***

Pojawiłam się tutaj w 1972 r. Nigdy wcześniej nie byłam w Pleszewie, nie miałam zatem pojęcia, co mnie tu czeka. Co prawda kilka lat wcześniej w liceum uczyła matematyki kuzynka mojej mamy, Kazia Lipińska, ale przeprowadziła się do Jarocina. Byłam zatem nowa, obca, kompletnie nikogo nie znałam. Pamiętam atmosferę w pokoju nauczycielskim – przy stole obitym skórą siedziało dostojne towarzystwo starszych już profesorów – państwo

Jabczyńscy, pani Łuniewska – żona weterynarza powiatowego, pani Jachowska – żona byłego dyrektora szkoły, która później okazała mi dużo przyjaźni. Wśród koleżeństwa ważne miejsce zajmowała oczywiście „madame Mroczkowska”. I pani Aleksandra Nafalska – cudowna kobieta, rusycystka, której miejsca w liceum zająłem. Przyjaźń z panią Nafalską przetrwała do końca jej życia. Na mniej eksponowanych miejscach w sali konferencyjnej siedzieli młodzi nauczyciele, którzy po części byli absolwentami tej szkoły i dlatego nie zawsze traktowani byli przez seniorów z odpowiednią powagą. Miałam to szczęście, że nie pamiętano mnie z lat szkolnych, a to pozwoliło mi stworzyć dobre relacje z tym dostojnym towarzystwem. Tamten okres – z punktu widzenia towarzyskiego – wspominam naprawdę bardzo dobrze. Było po prostu cudnie.

***Rozumiem. Muszę jednak zwrócić uwagę na kilka ważnych spraw. Po pierwsze, dwaj kolejni dyrektorzy liceum – kierujący szkołą w latach 70. i 80. – mieli zdecydowane, dalekie od solidarnościowych, poglądy. Po drugie, zamiast harcerstwa w szkole działała Harcerska Służba Polsce Socjalistycznej, Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Jakby na to nie patrzeć, istniała wtedy próba indoktrynacji uczniów.***

Ma Pan rację, iż istniał w ówczesnej szkole cały ten ceremoniał zbudowany wokół różnych rocznic. Był on narzucony odgórnie, dlatego też staraliśmy się odhaczyć każdą z tych imprez, mieć je z głowy. Powtórzę, że próbowaliśmy – pewnie nie wszyscy – prowadzić pewną grę z tym narzuconym systemem szkolnym, w jakiś sposób obchodzić go. Z pewnością nie było to łatwe, ale – przynajmniej ja – starałam się to robić. Nigdy nie głosiłam apoteozy systemu, choć uczyłam rosyjskiego. Zapalało mi się bowiem z tyłu głowy czerwone światełko i mówiłam sobie, że tego robić nie wolno. Nie mogę zachowywać się nieuczciwie, bo nie spodobałoby się to mojemu dziadkowemu – żołnierzowi Hallera, nie spodobałoby się to drugim dziadkom: Annie i Michałowi Leśnym, którzy w latach 50. stracili restaurację. Wkrótce potem dziadek zmarł. To jest po prostu „kwestia smaku”.

Chciałabym jeszcze raz podkreślić, że żyliśmy w systemie, który wymuszał dwoistość zachowań. Pamiętam kolegów wracających z lekcji i mówiących – „O Jezu, znów musiałem dziś tym dzieciakom opowiadać bzdury”. Wiem, że prywatnie byli to ludzie rozsądni, ale swoje musieli odfajkować, oficjalnie głosili więc wyższość socjalizmu nad kapitalizmem. Powtarzali narzucane nam zdania, trzymali się programów nauczania, które pełne były sloganów, komunałów.

***Czyli klasyczna mimikra.***

Tak, to była mimikra, przystosowanie się do sytuacji. Poniekąd można ludzi zrozumieć, bo każdy chce jakoś żyć nawet w najtrudniejszych czasach. Ludzie chcieli żyć w czasie okupacji niemieckiej, chcieli żyć w czasach komuny. Pewnie byli i tacy, którzy szczerze wierzyli w to, co mówiła władza. Wydaje mi się jednak, iż było ich niewielu. Zdecydowanie więcej osób przystosowało się i było im z tym dobrze. Proszę zrozumieć, nie chcę na siłę nikogo usprawiedliwiać, chcę to wszystko w jakiś sposób wytłumaczyć. Czasami jest to trudne, bo była taka kategoria kolegów, przy których nie można było powiedzieć nic szczerze. Mówiło się o nich „gumowe uszy” – hołubieni byli przez dyrekcję, zawsze dobrze im się wiodło, mieli przywileje, ale przez nas byli omijani szerokim łukiem.

***A jak zinterpretuje Pani taką sytuację. Jest przełom 80. i 81. roku. Lekcja w klasie czwartej LO. Uczniowie – rozgorączkowani atmosferą wolności, czytający także teksty z drugiego obiegu, pytają swego nauczyciela o Katyń. W odpowiedzi pada zdanie, które pamiętam do dziś: „Według ustaleń historyków i zgodnie z wykładnią KC PZPR wiemy, że zrobili to Niemcy”.***

Inteligentny uczeń wiedział, że nauczyciel w ten sposób daje mu sygnał, iż nie może wszystkiego powiedzieć, ale może się domyśleć, kim byli sprawcy tego politycznego mord. Ja w latach 80. nie miałam trudności z mówieniem uczniom prawdy o naszej historii, bo mocno utożsamiałam się z ruchem solidarnościowym. I oni to wiedzieli. Poza tym byłam zwykłą nauczycielką i... do tego w ciąży. Musiałabym trafić na naprawdę złego człowieka, który by mnie zwolnił z pracy, szykanował. Dla ludzi mocno związanych z partią otwarcie się, powiedzenie wszystkiego szczerze było znacznie trudniejsze. Mówiąc całą prawdę w roku 80. czy 81., kiedy jeszcze nie wiadomo było, w który kierunku to wszystko pójdzie, ryzykowali oni, że ktoś doniesie. I co wtedy?

***Proszę powiedzieć, czy to wszystko, co działo się także w pleszewskim liceum, miało wpływ na dalszą Pani działalność związkową, polityczną?***

W jakimś stopniu tak, choć rok 80. był tak niezwykły, że trudno dziś powiedzieć, który moment był najważniejszy, co tak naprawdę nas, mnie ukształtowało. W latach 70. środowisko pleszewskich nauczycieli było bardzo hermetyczne – obracaliśmy się przede wszystkim w kręgu swoich. Uczyłam wtedy i w liceum, i w technikum na Zielonej, co nie sprzyjało poszerzaniu znajomości, otwieraniu się na inne grupy. Oczywiście niektóre koleżanki miały mężów pracujących w SPOMASZ-u, ale było ich niewielu. Dopiero czas „Solidarności” był prawdziwym otwarciem się na inne środowiska. Nagle zobaczyliśmy fantastycznych ludzi, którzy mają naprawdę coś do powiedzenia, są odważni, są chętni do wspólnej pracy. Pamiętam niezwykłą atmosferę 80. i 81. roku, kiedy do naszego związku w Pleszewie należało 10 tys. ludzi. Chęć wspólnego działania była niesamowita, bo czuliśmy, że dokonuje się na naszych oczach przełom. Przykładem takiej wspólnej pracy było porządkowanie Ogródka Jordanowskiego przed przyjazdem do Pleszewa biskupa gnieźnieńskiego Jana Michalskiego. Trudno jest dziś opisywać słowami tamten nastrój – tam trzeba było po prostu być!

***O okresie pierwszej „Solidarności” powiemy z pewnością jeszcze wiele, bo – w istocie – był to czas niezwykły. Chciałbym jednak wcześniej zapytać, co – Pani zdaniem – wydarzyło się w połowie lat 70., iż nagle cały ten świat runął jak domek z kart? Pozornie wszystko toczyło się dobrze, „Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej”. Propaganda mówiła, że stajemy się potęgą gospodarczą, jednym z najbogatszych krajów świata. Nasi sportowcy zdobywali mnóstwo sukcesów, medali. Ludzie fascynowali się Gierkiem. A jednak...***

Od razu muszę powiedzieć, że ani nie fascynowałam się Gierkiem, ani też nie wciągnął mnie cały ten system.

***Jednym słowem nie przeżyła Pani „ukąszenia Hegłowskiego”.***

Nigdy w życiu. Pewnie wynikało to z wychowania domowego. Dla moich najbliższych wstąpienie do partii czy innych oficjalnych organizacji byłoby dyshonorem. Z domu rodzinnego wyniosłam wiedzę, że system, w którym żyjemy, jest zły. Mówił o tym mój dziadek Wincenty, mówiły o tym dzieje moich dziadków ze strony ojca, którzy mieli restaurację, a po wojnie z wiadomych względów ją stracili. Co prawda moja rodzina nie ma przeszłości opozycyjnej, ale nikt z nas nie chciał czynnie wspierać komuny. Wiedzieliśmy, że skoro system jest zły, to nie wolno go popierać. O słabościach systemu – szczególnie w aspekcie ekonomicznym – mówił nam często p. Zdzisław Marciniak – wieloletni pracownik pleszewskiego banku, nauczyciel ekonomii w technikum ekonomicznym na Zielonej. Zwracał on naszą uwagę na wielką ilość pożyczek, które zaciągała ekipa Gierka, by finansować nierzadko chybione inwestycje. Jego zdaniem, Polska nie była w stanie obsłużyć spłaty tych wszystkich kredytów, przepowiadał, że musi to skończyć się wielką katastrofą. Jak się później okazało, miał rację. Słuchając go, czułam, jak kruchy jest ten nasz – opiewany w propagandzie – sukces.

***W ostatnim czasie przeżywalismy niezwykle istotne wydarzenie – kanonizację Jana Pawła II. Proszę powiedzieć, jaką rolę w procesie rozpadu komunizmu trzeba przypisać naszemu papieżowi? Czy rzeczywiście po słynnej mszy z 2 czerwca 1979 r. na pl. Zwycięstwa Polacy „wstali z kolan”? Czy rzeczywiście wtedy przestali się bać?***

Zdecydowanie. Na każde z tych pytań muszę odpowiedzieć – TAK. Wybór Wojtyły na papieża, jego wizyta w Polsce, to co mówił z Watykanu – to było coś niesamowitego. To było nagłe przebudzenie, uświadomienie sobie jego roli, zrozumienie jego przesłania. To było wielkie.

W tym miejscu chciałabym podzielić się swoimi prywatnymi wspomnieniami. 9 października 1978 r., a więc na tydzień przed wyborem Karola Wojtyły na papieża, urodziłam syna Daniela. 16 października byłam w domu, opiekując się dzieckiem, gdy ogłoszono wiadomość z konklawe. Najpierw usłyszałam to z „Wolnej Europy”, bo od zawsze słuchało się u nas tej stacji. Pamiętam doskonale szok, jaki przeżyła władza. Redaktor TVP Grzegorz Woźniak, który prowadził ówczesny Dziennik Telewizyjny, nie wiedział, jak powiedzieć Polakom o tym wydarzeniu, by jednocześnie nie narazić się przełożonym. A my byliśmy po prostu szczęśliwi. Pamiętam także, jakie trudności robiono nam przy kupnie biletów na mszę papieską w Gnieźnie w czerwcu 1979 roku, jak opowiadano, iż nie warto jechać, bo i tak nikogo tam nie będzie. Pamiętam także transmisję telewizyjną, w trakcie której dokonywano manipulacji, pokazując tylko grupkę wiernych. A ja przecież wiedziałam, jakie tłumy były w Gnieźnie czy w Krakowie. Wtedy utwierdziłam się w przekonaniu o nieuchronności upadku nielubianego systemu.

***Kończąc wątek lat 70. w Pani życiu, chciałabym zapytać o sprawy prywatne. W 1979 r. urodził się Daniel, wcześniej (1975 r.) Oktawia, a jeszcze wcześniej pojawił się Stanisław Kuczyński.***



Tak, to był mój pierwszy poważniejszy „chłopak”. Zналиśmy się przez pięć lat studiów. Nie było łatwo, ale byliśmy szczęśliwi. Wspólnie pokonywaliśmy trudności dnia codziennego, a potem wspólnie angażowaliśmy się w działalność związkową. Najtrudniejszy był czas stanu wojennego, gdy bałam się, że mnie wyrzucą z pracy, a jego aresztują. Wtedy urodziła się Marianna, a nasz dom odwiedzali co jakiś czas panowie z SB. Dziś trudno mi mówić o Stanisławie, gdyż już nie jesteśmy razem.

***Rozumiem. Zapytam zatem o coś innego. „Solidarność” była bez wątpienia ruchem rewolucyjnym, a wydarzenia lat 1980-81 śmiało można nazwać rewolucją. Jak zostaje się rewolucjonistą?***

Ani ja, ani nikt z moich najbliższych nie czuł się rewolucjonistą. W 1980 r. w pleszewskim liceum do „Solidarności” zapisało się trzech nauczycieli: Stanisław Janiak, Zdzisław Łukaszewicz i ja. Choć nie czułam się rewolucjonistką, wiedziałam, że muszę w tym ruchu uczestniczyć, że moim obowiązkiem jest aktywnie działać w duszpasterstwie nauczycieli, Uniwersytecie Latającym, jeździć do Warszawy na wykłady Towarzystwa Oświaty Niezależnej, angażować się w różnorodne inicjatywy. Od 1980 r. w naszym domu ciągle coś się działo, ktoś przychodził, prowadziliśmy długie rozmowy o polityce, o historycznych wydarzeniach, które poznawaliśmy z podziemnych gazetek, o literaturze „źle obecnej” w szkole. Dlaczego to robiłam? Przede wszystkim dlatego, by móc śmiało spojrzeć dzieciom w oczy, gdy zapytają: „Mamo, a gdzie wtedy byłaś w roku 1980?”. „Solidarność” to było doświadczenie pokoleniowe (każde pokolenie ma taki ważny moment, który określa je na całe życie), trudno więc było stać gdzieś z boku, zajmować się tylko gotowaniem obiadu i innymi codziennymi sprawami. Powiem jeszcze więcej, w okresie „Solidarności” byłam szczęśliwa, że mogę brać udział w czymś szalenie ważnym, że mogę poznawać także nowych, ciekawych ludzi – Krzysztofa Szaca, Edwarda Kubisza, braci Kuberków, Mariana Perę, Halinę Jankowską, z którymi z różnych względów wcześniej nie zetknęłabym się. Wtedy byliśmy grupą!

***Mówi się, iż człowiek kształtowany jest przede wszystkim przez swój dom rodzinny. Co dała Pani rodzina Leśnych [nazwisko rodowe Ireny Kuczyńskiej]?***

Wszystko. Dobre wychowanie, wartości, na których budować trzeba własne życie. Ciekawość świata i ludzi. Wsparcie w każdej trudnej sytuacji. Przykład uczciwego życia i przekonanie, że tylko ciężką pracą można dojść do czegoś. Także przekonanie, iż wielką wartością jest wykształcenie.

Urodziłam się i wychowałam w Ostrorogu, małym miasteczku niedaleko Poznania, które jest sławne dzięki dwóm ludziom – Janowi Ostrorogowi – pisarzowi politycznemu z XV wieku (autor „Memoriału w sprawie uporządkowania Rzeczypospolitej”) i... Irenie Kuczyńskiej (śmiech). Ważną postacią dla mnie był zawsze wspomniany już dziadek Wincenty – ojciec mamy. W początkach poprzedniego stulecia wyjechał on do pracy do Westfalii. W 1914 r. poszedł do pruskiego wojska, walczył m.in. pod Verdun, trafił do niewoli francuskiej. Stamtąd udało mu się przedostać do Błękitnej Armii gen. Hallera. W 1920 r. w czasie wojny polsko-bolszewickiej walczył pod Kijowem. Został wtedy odznaczony przez marszałka Piłsudskiego za odwagę. Wraz z Hallerem brał udział w uroczystości zaślubin z morzem w Pucku. Potem służył w straży granicznej, która chroniła nowo powstałe

państwo na odcinku Noteci. Wrócił do Ostrorogu, gdzie kupił dom. Był to na pewno jeden z najważniejszych ludzi w moim życiu, bo jego przeszłość stanowiła ważny odnośnik. Jak wcześniej mówiłam, dziadek nie był szczęśliwy z tego powodu, że rozpoczęłam studia na rusycystyce. Często zresztą tak było, że zastanawiałam się, czy to co robię, podobałoby się właśnie dziadkowi.

Moja mama, która obecnie ma prawie 90 lat, przed wojną ukończyła jedną klasę gimnazjum w Szamotułach, do którego my później z siostrą chodziłyśmy. Wszelkie plany pokrzyżowała jednak wojna i okupacja. Po wyzwoleniu spotkała mojego ojca Michała, który wrócił właśnie z niemieckiej niewoli. Wyszła za męża, miała pięcioro dzieci, zajmowała się domem. Rodzice starali się, aby cała nasza piątka mogła zdobyć wykształcenie (troje z nas ukończyło studia wyższe, dwoje zdobyło wykształcenie średnie). W naszym domu było zawsze mnóstwo książek, polskich gazet, które abonowali moi pradziadkowie jeszcze w czasach zaboru pruskiego. Jako ciekawostkę powiem, że znaleźć u nas można „Przewodnik Katolicki” z 1896 r. Dodam, że siostra mojej babcie ze strony mamy – Józefa, była ochroniarką. Hrabina Kwilecka w latach 20. wysłała ją na kurs ochroniarek i prowadziła potem w Domu Katolickim w Ostrorogu ochronkę pod auspicjami Edmunda Bojanowskiego. Książki po ciotecznej babce przechowuję do dziś. Mają ponad 100 lat.

Zarówno rodzina Leśnych jak i Ratajczaków to typowe rodziny wielkopolskie. Jesteśmy pracowici, zaradni, skrzętni, przywiązani do tradycji narodowych. Chłonni wiedzy. Chętni do pracy organicznej. Ale nie siedzimy na miejscu. Jesteśmy ruchliwi, dzieci mojego rodzeństwa (moje też) pokończyły studia i żyją w Poznaniu, Koninie, Braniewie, Gdyni, Kaliszu, Dublinie, Jarocinie. Mediolanie... Tak jak ich pradziadkowie: Anna i Michał – wywodzący się z Wielkopolski rodzice mojego ojca Michała, którzy w 1910 roku wyjechali do Westfalii do pracy, wrócili, jak powstała Polska.

***Wróćmy jeszcze na chwilę do waszej grupy towarzysko-związkowej. Wiemy doskonale, gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania. Proszę powiedzieć, co było czynnikiem scalającym. Jak zapamiętała Pani wasze wzajemne relacje?***

Myślę, iż przykład szedł z góry. Oglądając telewizję, czytając gazety, widzieliśmy robotnika Wałęsę, który otaczał się inteligencją. Na co dzień byli z nim Tadeusz Mazowiecki, Władysław Geremek i inni. Chcieliśmy działać podobnie, słuchać siebie, dyskutować, ale dochodzić do wspólnych wniosków. Wcześniej żyliśmy w zupełnie innych, często hermetycznych światach. W czasach „Solidarności” inżynierowie i profesorowie słuchali robotników i odwrotnie. Ważniejszy był wspólny cel niż różnice.

***W jednym z tekstów okolicznościowych wyczytałem, iż pierwsza „Solidarność” to była bajka. Piękne, ale tylko marzenie o jedności i wielkości. Co Pani na to?***

„Solidarność” była w moim życiu pierwszym autentycznym ruchem, który sama wybrałam, bo chciałam w nim uczestniczyć. To nie była fasadowa organizacja sterowana przez władzę czujnie obserwującą, co ludzie robią. Nikt nas do niczego nie zmuszał ani na siłę nas nie zapisywał. „Solidarność” była autentyczna i my zachowywaliśmy się autentycznie. Często popełnialiśmy błędy, szczególnie na początku błądziliśmy jak we mgle, nie wiedząc, jak stworzyć związek w Pleszewie, jak go zarejestrować. Wspólnie uczyliśmy się nowej sytuacji, co bardzo nas do siebie zbliżało. Impulsy dla nas szły z Gdańska, a my tu,

na dole, próbowaliśmy działać wspólnie. Pewnie, że „Solidarność” była marzeniem o jedności. Gdy wspólnie rozwiązujesz problemy, różnice pochodzenia, wykształcenia odchodzą na dalszy plan.

***Gdańsk miał Wałęsę, Borusewicza, Szczecin – Jurczyka, Bydgoszcz – Rulewskiego, a Wrocław – Frasyniuka. Kto w Pleszewie był wyraźnym przywódcą?***

Oczywiście Krzysztof Szac. Jego zastępcą był Stanisław Kuczyński. To było dwóch ludzi, którzy zdecydowanie dzierżyli ster pleszewskiej „Solidarność”. Byli przywódcami nie tylko w sensie formalnym. Szac był odważny (czasami aż za bardzo), w rozmowach z przedstawicielami ówczesnej władzy mówił otwarcie, prosto z mostu o naszych problemach. Do dziś taki jest. Ja osobiście zawsze oceniałam go pozytywnie.

***Kontynuując ten wątek naszej rozmowy, chciałbym zapytać, jakich ludzi „Solidarność” początku lat 80. zapamiętała Pani szczególnie?***

Na pewno trzeba powiedzieć w tym miejscu o Edwardzie Kubiszu. To mój najlepszy przyjaciel. Człowiek, na którym zawsze można było polegać. Odpowiedzialny, przewidywalny, opanowany. W trudnych sytuacjach potrafił zapanować nad rozgorączkowanymi robotnikami z „Obrabiarek”, doprowadzić rzeczy do pomyślnego końca. Imponował mi zawsze swym wewnętrznym spokojem i kulturą. W czasach, gdy był starostą pleszewskim, zarzucano mu, iż nie jest rewolucjonistą. Moim zdaniem, Pleszew zawdzięcza Edwardowi bardzo wiele. Kubisz to inżynier o duszy humanisty, człowiek renesansu o różnorodnych uzdolnieniach, zainteresowaniach. Jedną z najbardziej pozytywnych postaci, jakie spotkałam w życiu.

Nieodłącznym towarzyszem Kubisza był Antoni Zgorzelak, którego wspominam z dużym sentymentem. Pozytywną rolę spełnił w środowisku na pewno Stanisław Kuczyński. Aktywni byli bracia Kuberkowie. Ale było w naszym mieście sporo fantastycznych ludzi, niezajmujących szczególnie eksponowanych stanowisk. Wspomnieć chciałabym m.in. o Krysi i Andrzeju Rorotach, Mirce i Januszu Trzeciakach, Marysi Mikołajczak, Hani Rzeszutek, Jadzi Janczewskiej, Irenie Soroko, Halinie Jankowskiej, Dance Szymańskiej, Alinie Małyszko, Hani Cnotliwej (Majewskiej), Hani Książek-Majewskiej, Stasiu Janiak, Marianie Perze. Takich ludzi było wielu, aż strach, by nikogo nie pominąć. Dzięki nim okres stanu wojennego i lat 80. wcale nie uważam za stracony.

***No właśnie. Jest rok 1981. Od kilku miesięcy coś wisi w powietrzu. W marcu w Bydgoszczy dochodzi do pobicia Jana Rulewskiego. Jesienią już wiadomo, że władza szykuje rozprawę z opozycją. Jakie były nastroje w waszej grupie? Czy wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia było dla Pani i kolegów zupełnym zaskoczeniem?***

Rzeczywiście nastrój niepewności i zagrożenia towarzyszył nam przez niemal cały rok. Dochodziły do nas – jak do wszystkich – informacje o tym, że Rosjanie wejdą do Polski, o strajkach, brakowało w sklepach coraz więcej towarów. Coś zatem wisiło w powietrzu, co nie pozwalało na spokojne życie i normalną działalność. Z drugiej strony jednak byliśmy zajęci cały czas organizowaniem związku w Pleszewie. Międzyzakładowy Komitet

Koordynacyjny przez cały rok 1981 miał swoją siedzibę w pleszewskim Domu Kultury. Gnieździł się w jednym małym pokoiku, dlatego staraliśmy się o większe lokum. Wreszcie „Solidarność” dostała biuro w budynku na narożniku ul. Poznańskiej i Bogusza (dawna Gwardii Ludowej). Jeszcze 12 grudnia z Izą Tomaszczak sprzątałyśmy te pomieszczenia, by związek mógł się do nich wprowadzić jak najprędzej. Niestety, następnego dnia obudziliśmy się w innej rzeczywistości. Wiedzieliśmy, że w Polsce może zdarzyć się coś złego, ale 13 grudnia był dla nas szokiem.

***Stan wojenny przerwał „karnawał wolności”. Jak Pani przeżyła ten moment? Z pewnością zapamiętała Pani znacznie więcej niż przeciętni Polacy, dla których kojarzy się on z przemówieniem Jaruzelskiego, a dla dzieci z brakiem „Teleranka”.***

Na pewno. Jak już mówiłam, wprowadzenie stanu wojennego zaskoczyło nas wszystkich. Potem było tylko gorzej. Służba bezpieczeństwa pojawiła się dość szybko, by zabrać ze sobą Stanisława na przesłuchanie. Nie byłam pewna, co będzie dalej. Zostałam sama z dziećmi i – mieszkającymi z nami – rodzicami męża. Na szczęście mąż, jak wszyscy działacze pleszewskiej „Solidarności”, po pewnym czasie został zwolniony. Od tamtego czasu jednak byliśmy pod stałą kontrolą panów z SB. Latem 1982 r. funkcjonariusze służby bezpieczeństwa dokonali w naszym mieszkaniu rewizji, poszukując nielegalnych publikacji. Gdy nie udało im się nic znaleźć, zabrali mnie na działkę, gdyż koniecznie chcieli znaleźć urządzenia drukarskie. Wszystko na próżno.

W szkole byłam traktowana w zasadzie normalnie. Co prawda straciłam nadgodziny, wychowawstwo, ale mogłam pracować. Z pierwszych dni stanu wojennego zapamiętałam doskonale pogadankę, jaką przeprowadził w auli LO jeden z politruków. Opowiadał on młodzieży, w jaki sposób „Solidarność” szykowałą się do przejęcia władzy i kto miał być przez nią zlikwidowany. Gdzie składowaną broń, którą chciano wykorzystać przeciwko władzy. W ten sposób starano się uzasadnić konieczność wprowadzenia wojska na ulice polskich miast. Zapamiętałam z tamtych dni także sytuację komiczną – ówczesny sekretarz partii rozlepił w szkole plakaty z dekretem o wprowadzeniu stanu wojennego, a matematyk Stasiu Janiak je zdejmował. Niebawem pojawił się zwyczaj noszenia w klapie opornika. I w tej formie sprzeciwu wyróżniał się Stasiu Janiak z grupką najstarszych uczniów. Doskonale wiedziano o mojej działalności w duszpasterstwie nauczycieli, TOW, o wyjazdach na pielgrzymki nauczycieli na Jasną Górę, na msze za Ojczyznę do Jezuitów w Kaliszu 13. każdego miesiąca, czy też na pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki, ale pozwolono mi w miarę normalnie żyć.

***Proszę wybaczyć, ale chyba jest Pani zbyt wyrozumiała dla ludzi, którzy decydowali wtedy o Polsce, Pleszewie, szkole. O ile pamiętam, a miałem wtedy 20 lat, stan wojenny otworzył puszkę Pandory, z której wylazły strach, a potem kłamstwo, zdrada, konformizm... Czy rzeczywiście w Pleszewie było tak słodko?***

Po latach wiem, iż ten stan wojenny był czasem okropnym, kiedy wychodziło z ludzi wiele paskudnych cech. Ale z drugiej strony muszę powiedzieć coś, co w środowiskach postsolidarnościowych jest niepopularne. Stan wojenny był nam potrzebny, by przygotować się do przyszłego przejęcia władzy. A że komuna kiedyś musi upaść, to było dla nas pewne. Stan wojenny w Pleszewie na pewno nie był tak uciążliwy dla nas – działaczy „Solidarności”

– jak w innych większych miastach. Podejrzewam, że było to także zasługą Ryszarda Wilińskiego – komisarza wojskowego odpowiedzialnego za wprowadzenie stanu wojennego w mieście, który okazał się porządnym człowiekiem. Ale to jest moje osobiste doświadczenie. Moi koledzy z opozycji natomiast powtarzają często, że w Pleszewie było tak samo jak w innych miastach i oni także byli prześladowani, stracili pracę itp. Nie o wszystkim wtedy wiedziałam.

***Rozmawiając z ludźmi „Solidarności”, zadaję często następujące pytanie: Czy gdyby Jaruzelski nie rozpoczął wojny polsko-polskiej, „Solidarność” utrzymywałaby swą potęgę z lat 1980-81? Przeważnie słyszę odpowiedź negatywną. Co Pani o tym sądzi?***

Racja. Myślę, że prędzej czy później związek straciłby na znaczeniu, ludzie bowiem byli już zmęczeni pogarszającą się sytuacją gospodarczą. Ciągłe czegoś brakowało, trzeba było walczyć o podstawowe środki do życia. Władza ciągle obwinała „Solidarność”, że zbyt często strajkuje. Próbowano wziąć nas na przeczekanie. Niby ustępowano, ale w odpowiednim dla siebie momencie zlikwidowano całą strukturę związku, zabrano biura wraz z dokumentami. Wszystko skończyło się przy niewielkim oporze społeczeństwa. Mimo iż „Solidarność” lat 1980-81 w powiecie pleszewskim miała ok. 10 tys. członków, aktywnych pozostało pewnie 5%. Pozostali gdzieś się rozbiegli, pilnując własnych spraw. Z drugiej jednak strony, czego mogliśmy się spodziewać, wiedząc, że do „Solidarności” ludzie zapisują się koniunkturalnie. Jeden ze znanych pleszewian mówił później, że był członkiem związku, by wiedzieć, co się dzieje „u przeciwników!”

***Proszę pozwolić na chwilę wspomnień. Rok 1982. Jestem bardzo młodym nauczycielem. W czerwcu tegoż roku wraz dziećmi z gminy Czermin jedziemy na biwak do Łęgu. Pogoda nie dopisuje, ale humory dopisują. Nastrój pryska, gdy pojawia się trójka weryfikacyjna, której zadaniem jest prowadzenie rozmów uświadamiających. Moi rozmówcy przekonują mnie o słuszności wprowadzenia stanu wojennego, a na koniec mam złożyć deklarację (chyba pisemnie), że „nie będę działać na szkodę socjalistycznej ojczyzny”. Czy przypomina Pani sobie taką rozmowę weryfikacyjną?***

Oczywiście. Tuż po wprowadzeniu stanu wojennego w pleszewskim liceum pojawiła się komisja weryfikacyjna, której szefem był śp. Eugeniusz Waliszewski – ówczesny dyrektor „Zawodówki”. Pamiętam, iż cała rozmowa była czymś strasznie absurdalnym. Pan Waliszewski, z którym znaliśmy się dobrze, wiedział doskonale, jakie są moje poglądy, ale czuł się zobowiązany wykonać swoje zadanie. Wiem, że nikomu nie chciał zaszkodzić. Strasznie mnie więc przekonywał, iż po wprowadzeniu stanu wojennego było bezpieczniej. A ja – nawet ze łzami oczach – powtarzałam uparcie: „Nie, ten stan wojenny niczego dobrego nie przyniósł, naprawdę nie było spokojniej i bezpieczniej”. Byłam przekorna i uparta, pewnie dlatego nie dostałam już wychowawstwa. Jak potem przeczytałam w swojej teczce z aktami osobowymi, że „nie spełniałam wymogów socjalistycznego wychowania”. Było to dla mnie pewnego rodzaju policzkiem. Zawsze bowiem traktowałam pracę w szkole poważnie, nie zaś jako przykry obowiązek.

Muszę powiedzieć, że mój szef – pan Andrzej Kulig – człowiek do końca o poglądach lewicowych, w latach swego dyrektorowania był „po linii i na bazie”. Potrafił jednak czasem

zapomnieć o różnicach naszych poglądów i w normalnych sprawach życiowych zachowywał się bardzo przyzwoicie. Gdy miałam problemy zdrowotne i wylądowałam w szpitalu, dał część moich godzin Stanisławowi, co było ważne dla naszego niebogatego budżetu domowego. Kulig pomógł nam również w zorganizowaniu stypy po moim zmarłym teściu, co w czasach „kartkowych” było bardzo ważne. Jednocześnie stale toczyliśmy boje o udział w najważniejszym ówczesnym święcie – pierwszomajowym pochodzie. Natomiast po każdym spotkaniu w klasztorze, które organizowałam, pytał: „Pani Ireno, co tam znów działo się u siostr?” Znaczyło to ni mniej, ni więcej: „Wiemy, wiemy, obserwujemy Panią”.

***Proszę powiedzieć, czy nie miała Pani kiedyś ochoty rzucić tej całej działalności opozycyjnej?***

Jak miałam to rzucić, skoro byłam w samym środku wydarzeń? To my ze Stanisławem organizowaliśmy te spotkania, kolportowaliśmy książki, jeździliśmy na pielgrzymki, ja byłam ze Stasiem Janiakiem we Warszawie na pogrzebie Popiełuszki. A potem w szkole opowiadaliśmy o wszystkim.

***Nie było w Pani strachu? O rodzinę, przede wszystkim o dzieci? Inaczej jest biegać pod poznańskie Krzyże i dostać pałą po tyłku, gdy się ma dwadzieścia lat, a inaczej człowiek zachowuje się, gdy ma się trójkę dzieci i dom.***

Powiem szczerze, że w latach 80. nie czułam już strachu! Pewnie, że nie jest przyjemnie, gdy esbecy nachodzą cię w domu, przetrząsają ci każdy kąt. Pewnie, że nie jest przyjemnie, gdy myślisz, że znowu jesteś pod obserwacją smutnych panów. Z czasem człowiek przyzwyczaja się, chociaż wie, że każdego 13. w Kaliszu na mszy za Ojczyznę co trzeci człowiek to esbek. Gdyby mój dyrektor któregoś razu powiedział mi, że mnie wyrzuci z pracy, to pewnie bym się zastanowiła, z czego będziemy żyć. On jednak puszczał oko, mówił: „Wiemy, wiemy”, ale na pewno nie chciał żadnej awantury z Kuczyńską.

Poza tym w latach 80. żyliśmy naprawdę stadnie, spotykaliśmy się co chwilę, a to niwelowało strach. Muszę powiedzieć, że wielką rolę w integrowaniu naszego środowiska miał Kościół. Garnęliśmy się do Kościoła, a on otwierał przed nami swe drzwi. Ileż to spotkań odbyło się na wikariacie przy placu Kościelnym w Pleszewie? U księży Stasia Tokarczyka i Romana Waszkiewicza spotykaliśmy się nie tylko po to, by dyskutować, ale także by się bawić np. w czasie sylwestra. Oczywiście wszystko działo się z błogosławieństwem ks. Eugeniusza Nowaka, który musiał wiedzieć, co robią jego wikariusze i ta chmara hałaśliwych nauczycieli.

***Po roku 1984 w społeczeństwie polskim zapanowało totalne zniechęcenie. Część wyjechała, inni udali się na emigrację wewnętrzną, jeszcze inni zaczęli się dorabiać. Czy w tym czasie nie mieliście Państwo ochoty wyjechać za granicę, poszukać lepszego miejsca do życia?***

Powiem szczerze, dzięki znajomościom Stanisława mogliśmy wtedy załatwić sobie i dzieciom wyjazd na Zachód. Nie wchodziło to jednak w rachubę. Po pierwsze dlatego, iż mieszkał z nami mój schorowany teść, który zmarł w 1986 r. Czy mieliśmy zostawić go

samego z teściową? A po drugie, po co właściwe mieliśmy wyjeżdżać. Dziś moja córka mieszka we Włoszech, ale w każdej chwili może wrócić. Wtedy kupowało się bilet tylko w jedną stronę. Powrót był bardzo trudny. A tak w ogóle nie wyobrażam sobie życia poza Polską. I tyle!

***W naszej rozmowie o Solidarności i stanie wojennym nie może zabraknąć pytania o bilans lat 80. Jaka jest Pani ocena tej dekady?***

Z jednej strony Polska wiele straciła. Uspokojono chwilowo sytuację, ale brakowało podstawowych reform. Z drugiej, aż do roku 1989 trwała nieustanna praca organiczna. W Pleszewie powstało np. duszpasterstwo nauczycieli, duszpasterstwo ludzi pracy. Przyjeżdżali tu profesorowie wyższych uczelni z wykładami na najróżniejsze tematy. Co miesiąc gościliśmy w klasztorze Sióstr Służebniczek jakąś ciekawą postać. Sprowadziliśmy wielkie ilości książek wydawanych w drugim obiegu, by mieć orientację w tym, co dzieje się we współczesnym świecie. Dzięki temu wielu ludzi było przygotowanych do obejmowania stanowisk, pracy w samorządzie, tworzenia – po 1989 r. – nowej Polski.

Podam dwa przykłady. Pierwszy jest związany z naszym mieszkaniem. W ramach uniwersytetu latającego odbyła się u nas prelekcja Andrzeja Szymańskiego o bitwie pod Wiedniem. Andrzej mówił – jak zwykle ciekawie – o rzeczach, które były dla nas nowością. Jego wykładu słuchało w naszym małym mieszkaniu w bloku około 30 ludzi. Porozsiadali się oni, gdzie tylko się dało. Nikt nie zważał na niewygodę, chcieliśmy dowiedzieć się po prostu czegoś ważnego.

O sile naszego środowiska niech świadczy także fakt, że potrafiliśmy do klasztoru na prelekcje interesujących ludzi ściągnąć po 100 osób. W czasach, gdy esbecja stała pod klasztorem i patrzyła, kto do nas idzie, był to niewątpliwy sukces. Takich spotkań było mnóstwo.

***Zatrzymajmy się tutaj na chwilę, bo pojawiła się nazwa SB. Czy nie korciło Panią, by w końcu lat 90. i na początku dwutysięcznych, gdy otwarto – choć częściowo – akta Służby Bezpieczeństwa, zajrzeć do swojej teczki i zobaczyć, kto donosił. Może okazałoby się, iż „życzliwych” jest całkiem niemało?***

Ale po co miałabym to robić? Mam w Pleszewie sporo znajomych, pewnie także i niemało wrogów (bo któż ich nie ma). Jestem zadowolona z życia i niech tak zostanie. Wiedza zebrana przez esbeków wcale mi do szczęścia nie jest potrzebna. Chcę pamiętać, że lata 80. może i były trudne, ale piękne dzięki naprawdę życzliwym ludziom, których wokół nas było wielu. Chcę mieć świadomość, że byłam po tej lepszej stronie, wśród tych, którzy czytali te lepsze książki... Że byłam w tej elicie zmieniającej nasz kraj. Że mogłam czytać wtedy Adama Michnika, spotkać się z Wiesławem Chrzanowskim, być na pogrzebie Popiełuszki. Dla mnie to bardzo wiele.

***25 maja tego roku odbył się uroczysty pogrzeb gen. Jaruzelskiego – twórcy stanu wojennego. Jak Pani ocenia tę postać?***

Niejednoznacznie. Na pewno nie jest to postać kryształowa. Nie potrafię jednak powiedzieć, iż był to zdrajca, jak często przedstawiany jest przede wszystkim przez środowiska pravicowe. Jeśli już to postać tragiczna. Inna sprawa to zachowanie ludzi w czasie jego pogrzebu, na cmentarzu. Z pewnością nie jest to zachowanie godne wobec zmarłego i jego rodziny.

***Od niemal 25 lat związana jest Pani z mediami. Najpierw była „Gazeta Pleszewska”, potem Radio Centrum, „Ziemia Kaliska”, „Wiadomości Dnia”, teraz znów „Gazeta Pleszewska”. Jak to się zaczęło?***

Bardzo prosto. W 1990 r. startowałam w konkursie na dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Pleszewie, szkoły, w której pracowałam od czasów ukończenia studiów. Niestety, przegrałam z moim kolegą historykiem Andrzejem Szymańskim. Z perspektywy czasu tamtą historię oceniam pozytywnie, gdyż przegrana zmusiła mnie do szukania innej drogi zawodowej. Jednocześnie byłam zaangażowana mocno w działania Komitetu Obywatelskiego, którego członkowie wystartowali w pierwszych demokratycznych wyborach do samorządów lokalnych. Burmistrzem Pleszewa został wtedy Piotr Hasiński. Szefem Komitetu został Kryspin Kuberka, na jego zastępcę wybrano mnie. Wtedy to właśnie Kryspin rzucił hasło, by zrobić lokalną gazetę. Nikt oczywiście nie miał pojęcia, jak wydaje się prawdziwe gazety, ale nikt się tym nie przejmował. Byliśmy pełni entuzjazmu, gdyż wcześniej w Pleszewie wydawano gazetkę w „Obrabiarkach”, więc rzuciliśmy się na głęboką wodę. Oczywiście zaczęliśmy bez komputerów – teksty pisaliśmy ręcznie, a następnie dawaliśmy je do przepisania na Robotronie p. Niezgódkowej. Całość naklejał na arkusze, które były fotografowane w ZRYW-ie. Była to robota czysto chałupnicza. Ale ruszyliśmy. Gazeta nie miałaby szans na zaistnienie, gdyby nie praca Marka Biernata, Waldka Nawrockiego, Romka Wróblewskiego, Hani Rzeszutek, Marysi Mikołajczak, Leszka Bierły, Jurka Jabczyńskiego, Stasia Antczaka, Poldka Lisa, Edzia Karnickiego, Bożeny Kałki, Mariana Wolniaka, Krysi Tuczyńskiej, Basi Paluszczak i wielu innych.

W momencie porządkowania prawa prasowego zdecydowano, iż Komitety Obywatelskie nie mogą wydawać gazet, dlatego też zawiązana została w 1993 r. spółka wydająca „Gazetę Pleszewską”. A że spółki zjadły jaskółki, to po dwóch latach musiałam odejść.

Nie porzuciłam jednak pracy dziennikarskiej. Ze względu na to, że rozpiełała mnie energia, musiałam znaleźć sobie inne miejsce pracy. Trafiłam wtedy do „Ziemi Kaliskiej” i Radia Centrum. Lata pisania do „Ziemi” uważam za bardzo wartościowy czas, gdyż wtedy wiele się nauczyłam. W 1999 r. właściciele „Gazety Pleszewskiej” sprzedali tytuł wydawcy „Głosu Wielkopolskiego”, a ja wróciłam do macierzystego tygodnika.

***Wanda Nowicka na swojej stronie internetowej pisze, że bohaterki „Solidarności” traktowano drugoplanowo, stanowią one „niewidzialne zaplecze” walki o demokrację. Czy rzeczywiście odczuwają Panie jakiś żal, że rewolucja „Solidarności” ma tylko męską twarz?***

Ależ skąd! Ani ja, ani pewnie żadna z moich koleżanek nie czujemy się czymkolwiek zawiedzione. Przez wiele lat działałyśmy, uczestniczyłyśmy w ważnych wydarzeniach. Miałyśmy możliwość rozwoju, uczenia się, zdobywania nowych umiejętności. W latach 90.



jeździłam np. wraz z Łucją Banaś-Kasperską i Aliną Małyszko do Warszawy na seminaria prowadzone przez wybitnych polityków i naukowców – prof. Chrzanowskiego, mec. Olszewskiego.

Brałyśmy udział w najróżniejszych działaniach samokształceniowych, w duszpasterstwie nauczycieli (bo wśród nauczycieli najwięcej jest kobiet), w pracach komisji wyborczych. W 1990 r. pilnowałyśmy, by wybory samorządowe przebiegały zgodnie z prawem, by były uczciwe. To prawda, nie piastowałyśmy jakichś ważnych stanowisk. A może lepiej powiedzieć, że nie zabiegałyśmy o te stanowiska, gdyż oprócz działalności społecznej miałyśmy pracę zawodową, rodziny, które absorbowały nas bardziej niż mężczyzn. Dlatego nie uważam, iż zostałyśmy odstawione na boczny tor.

***Czy konieczne jest uhonorowanie kobiet „Solidarności” w specjalny sposób, chociażby poprzez wzniesienie pomnika lub stworzenia Parku Kobiet Solidarności? Czy nie jest to sposób na zamykanie się w „getcie kobiecości”?***

Moim zdaniem, nie jest to potrzebne. Nie chciałabym, aby ktoś nas doceniał tylko dlatego, że jesteśmy kobietami. Ważniejsze jest to, co osiągnęłyśmy. Ważniejszy od pomnika jest szacunek dla dorobku Teresy Torańskiej, Anny Bikont, Heleny Łuczywo. W Pleszewie mamy Hannę Suchocką, która rozświetliła nie tylko nasze miasto. I tylko szkoda, że nie zawsze potrafimy dostrzec prawdziwą wartość człowieka. Ale to rozmowa na inną okazję.

***Miejsce urodzenia – Ostroróg, liceum – Szamotuły, studia – Poznań, od kilkudziesięciu lat w Pleszewie. Kim Pani jest?***

„Pierelotnaja ptica”. Jestem jak ten przelotny ptak. Choć mieszkam w Pleszewie od kilkudziesięciu lat, tutaj zapaściłam korzenie, mam wrażenie, że prędzej czy później moje życie zatoczy koło i wrócę do swojego Ostrorogu. Proszę zauważyć – wszyscy moi najbliżsi (córki, syn) gdzieś wyfrunęli z Pleszewa. A to do Kalisza, a to do Gdyni, a to do Włoch. W Pleszewie mam przyjaciół, pracę, z tym miastem związane są moje najlepsze wspomnienia, tutaj odniosłam sukces zawodowy, ale nie jestem pewna, czy to jest moje miejsce na zawsze. Ostroróg to miasteczko, w którym trudno znaleźć coś fascynującego. Na próżno szukać jakichś szczególnych klimatów. Dla mnie jednak zawsze będzie ono ważne, bo tam właśnie mieszka moja mama, tam są groby moich przodków od kilku pokoleń, moich krewnych, których znam wszystkich z imienia i nazwiska. Ja stamtąd po prostu jestem.

***W tym wywiadzie, a także przy okazji innych rozmów, zauważyłem, iż jest Pani szalenie dumna ze swoich dzieci.***

Oczywiście! Bo dzieci to mój jeden z najważniejszych sukcesów życiowych. Tak, jestem z nich dumna! Najstarsza Oktawia skończyła polonistkę, niedawno została dyrektorką Gimnazjum nr 1 w Gdyni. W wolnych chwilach podróżuje po świecie i prowadzi bloga nietylkomiejsca.pl. Daniel – anglista – uczy w gimnazjum w Kaliszu, a najmłodsza Marianna – także anglistka – jest menagerem sprzedaży w firmie włoskiej w Ornavasco koło Mediolanu. Jak każda matka cieszę się ich sukcesami, jak tylko to możliwe, wspieram ich i aktywizuję do działania.

*Na koniec chciałbym zapytać Panią o cenę, jaką trzeba było zapłacić za lata działalności w „Solidarności” i Komitecie Obywatelskim. Co było najtrudniejsze?*

Czy to wszystko, co robiłam, było z mojej strony poświęceniem? Chyba nie. Byłam w „Solidarności”, potem działałam w Komitecie Obywatelskim, bo tego chciałam. Uważałam, że jest to ważne, potrzebne, wartościowe. Ani przez chwilę nie myślałam o tym w kategoriach poświęcenia. Myślę także, że udało mi się łączyć działalność polityczną z życiem rodzinnym. Nie zaniedbałam dzieci, czego dowodem jest to, iż udało im się je wykształcić, dobrze wychować. Jeśli kobieta chce być spełniona, nie może zamykać się, zajmować tylko garnkami. Niczego nie żałuję, choć w pewnym momencie moje małżeństwo się rozpadło. Może właśnie to była cena, jaką musieliśmy zapłacić za sukces związany ze zwycięstwem „Solidarności” i nasz osobisty sukces. Trudno mi jednak o tym opowiadać, bo do tej pory boli.

*Czy dziś byłaby Pani gotowa znów rzucić się w wir działalności związkowej, politycznej?*

„Solidarność” była czymś jedynym i niepowtarzalnym. Przyszła do mnie, kiedy byłam młoda, otwarta na zmiany, chłonna. Myślę, że dziś jest czas właśnie na młodych. Oni będą decydować o przyszłości. I bardzo dobrze.

*Dziękuję za rozmowę.*

*Rozmawiał: Janusz M. Lewandowski*

Czerwiec – październik 2014

**\*Rozmowa z p. Ireną Kuczyńską jest częścią większego projektu prezentującego ludzi mieszkających w Pleszewie, a pochodzący z różnych części naszego kraju.**